



Jaume Cabré

G Ł O S Y P A M A N O

Manewr był bezszelestny, delikatny jak pieszczota. Dłoń w rękawiczce przytrzymała klamkę od wewnątrz, żeby uniknąć hałasu. Drzwi domknęły się z ledwie dosłyszalnym westchnieniem. Ktoś, jakaś niewyraźna sylwetka, pojawiła się w ciemnym mieszkaniu. Jura dobrze widział nocą i mógł śledzić jej ruchy w milczeniu. Przybysz wszedł do gabinetu. Wkurzył się, że nie zaciągnięto na noc żaluzji. Po drugiej stronie okna pejzaż zamrożony niespodziewanym prądem arktycznym trwał w martwej ciszy, potęgowanej opadającymi powoli płatkami śniegu. Nie dobiegał nawet szum rzeki. Zostawił żaluzje w spokoju, żeby nikt, nigdy, pod żadnym pozorem nie domyślił się, że ktoś tej nocy zakradł się do mieszkania.

Z ciężkim westchnieniem zasiadł przy biurku, postawił teczkę na podłodze obok krzesła i włączył komputer. Ucieszył się, że panujący tu wzorowy porządek ułatwi mu zadanie. Jura bezszelestnie odprowadził intruza do gabinetu, a teraz zatrzymał się w progu i obserwował go w milczeniu. Kiedy niebieskawe światło ekranu wypełniło pomieszczenie, przybysz zaniepokoił się, że ta zimna, słaba poświata może być widoczna z opustoszałej ulicy czy z wnętrza mieszkania. Nad ekranem ktoś przykleił kartkę: „Dzień dobry! Jedzenie jest w szafce nad lodówką. Dziękuję za wszystko!”. Zaczął przeglądać zawartość folderów. Wyciągnął z kieszeni paczkę dyskietek i zabrał się do systematycznego kopiowania plików. W budynku ktoś zakaszłał. Domyślił się, że to sąsiedzi z dołu wrócili nieco zamroczeni z jakiejś imprezy, a teraz, zmęczeni i znużeni, narzekali, że są za starzy na takie wysoki. Jakiś powoli brnący przez śnieg samochód ponownie zakłócił ciszę nocną. Czemu te komputery tak wolno pracują, kiedy człowiekowi się spieszy. I czemu robią tyle hałasu, skoro teoretycznie są bezszelestne. W tym momencie zadzwonił telefon. Przybysz zastygł w bezruchu i nie zamykając dokumentów natychmiast wyłączył komputer. Nie otarł kropli potu spływającej mu po nosie, bo na ten moment zawiesił swoje istnienie. W mieszkaniu panowała absolutna cisza.

– Nie mogę teraz odebrać. Zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału.

– Słuchaj, jutro rano nie przyjdę, bo niespodziewanie przyszło zamówienie z Tremp na kamienne płyty i córka postawiła na swoim. Nie martw się, będę koło południa, przed obiadem. Cześć. Powodzenia. Buziaki. Później cię odwiedzę. Ach, jeszcze jedno: miałaś rację, rzeczywiście słychać kantylenę rzeki Pamano.

Bi, bip. Żegnaj. Męski głos, w którym pobrzmiwał akcent z gór, zachrypnięty od tabaki i kawy z procentami, z nadzieją mówił o jutrzejszym dniu. Nieznajomy odczekał chwilę, czy w mieszkaniu otworzą się któreś drzwi. Nic. Nikt. Na szczęście dla siebie Jura postanowił się nie ujawniać i tkwił nieruchomo jak przedmiot. Kiedy rozpląnęło się w powietrzu echo głosu z telefonu i nieznajomy znów usłyszał, jak delikatne opadają płatki śniegu, pokrywając wszystko za oknem, ostrożnie zaczerpnął powietrza do płuc i ponownie włączył komputer.

Jura opuścił swoje stanowisko przy drzwiach i, nie mając konkretnego planu działania, wymknął się do salonu, cały czas wsłuchując się w odgłosy dochodzące z gabinetu.

Intruz kontynuował przerwane zajęcie. Szybko wypełnił pięć dyskietek plikami z folderu oznaczonego literami O.F. i skopiował jeszcze parę innych na wszelki wypadek. Kiedy skończył, wykasował wszystkie dokumenty. Upewnił się, że nie pozostał po nich żaden ślad i że niczego nie przegapił. Następnie skopiował z własnej dyskietki złośliwe oprogramowanie. Wyjął dyskietkę z wirusem i wyłączył komputer.

Zapalił latarkę. Trzymał ją w zębach, żeby mieć wolne ręce. Opróżnił szybko trzy segregatory znalezione na biurku. Były w nich papiery, zdjęcia, jakieś dokumenty. Wrzucił wszystko do swojej teczki, a segregatory odłożył. Na podłodze pod ścianą stała czerwona walizka, spakowana do podróży. Otworzył. Uważnie przejrzał zawartość, ale nie znalazł nic ciekawego. Zamknął ją i odstawił na miejsce. Już miał wyjść, kiedy coś go tknęło, żeby na wszelki wypadek przejrzeć jeszcze szuady. Dużo czystego papieru, notesy, szkolne zeszyty. I pudełko. Otworzył je i poczuł, jak oblewa go zimny pot. W tym momencie usłyszał jakby ciężkie westchnienie w głębi mieszkania.

Zanim zamknął za sobą drzwi, upewnił się, że nie zostawił żadnego śladu swojej piętnastominutowej obecności, z pełną świadomością, że im dalej od tego miejsca zostanie go świt, tym lepiej dla niego.

Kiedy Jura został sam, wszedł do pogrążonego w ciemnościach gabinetu. Niby wszystko pozostało na swoim miejscu, ale coś go dręczyło. Miał nieodparte wrażenie, że nie stanął na wysokości zadania.

O dziewiątej rano w piątek trzydziestego marca dwa tysiące drugiego roku od narodzenia Chrystusa, w tym dniu tak wyteścnionym i upragnionym, oczy licznych wiernych zgromadzonych na placu Świętego Piotra w Watykanie, przybyłych ze wszystkich zakątków świata, wpatrują się w napięciu w przystrojone okno, z którego jego świątobliwość Ojciec Święty ma udzielić błogosławieństwa urbi et orbi. Mimo pierwszych dni wiosny doskwiera chłód, wywołany mroźnym zdradzieckim wiatrem znad Tybru, który nadciąga przez Via della Conciliazione i dziarsko, triumfalnie wpada na plac z zamiarem zakłócenia nabożnego skupienia wiernych, oczekujących, aż pojawi się Summus Pontifex. Chłód i emocje zmusiły do wyciągnięcia chusteczek. Porusza się okno i w szybie otwieranego do wewnątrz balkonu odbija się światło. Najpierw wyłonił się mikrofon, który jakiś usłużny kapłan zainstalował na odpowiedniej wysokości, a zaraz potem ukazuje się przygarbiona, obleczona w nieskazitelną biel sylwetka Ojca Świętego Jana Pawła II. Wypowiadane przez niego ledwie dosłyszalne słowa gubią sens, nim dotarły do ludzi, mimo że wszyscy schowali już chusteczki i umilkli. Udziela błogosławieństwa. Sześć zakonnic z Gwinei, klęczących na mokrych kamiennych płytach, płacze z radości. Pielgrzymi z grupy księdza Relli, usytuowani w bardzo dobrym miejscu, na wprost papieskiego okna, starają się zachować milczenie, zakłóca je tylko nieco zabobonne zachowanie paru osób. Niektórzy potrząsają owiniętymi wokół dłoni różańcami, inni całują obrazek za pół euro przedstawiający papieża, jeszcze inni starają się uwiecznić tę chwilę na zdjęciu. Ksiądz Rella ucisza ich ruchem ręki, żeby się przedwcześnie nie ekscytowali, i patrzy na zegarek. Trzeba się pospieszyć, mają tylko pół godziny na doście do piazza del Sant'Uzio. Kiedy tylko Ojciec Święty, zaraz po błogosławieństwie, znika porwany przez lekarzy, ksiądz Rella podnosi rękę, wskazując kierunek, zdecydowany użyć czerwonego parasola do torowania drogi przez gęsty jak zarośla tłum zgromadzony na watykańskim placu. Jak jeden mąż grupa składająca

się z pięćdziesięciu kobiet i trzynastu mężczyzn podąża za czerwonym parasolem. Zgromadzeni rozchodzą się powoli, bez pośpiechu, jakby im było żal opuszczać miejsce, o którym tak długo marzyli.

Ulicą via di Porta Angelica przemyka zręcznie jak kot limuzyna z przyciemnionymi szybami, skręca w prawo i zatrzymuje się przy punkcie kontrolnym na via del Belvedere. Dwaj mężczyźni ze słuchawkami w uchu, w ciemnych okularach i z wygolonymi karkami rzucają się do okien, które otwierają się elegancko, jak zalotnie opuszczone powieki. Obaj wyprostowują się równocześnie i dają znak, że droga wolna. Jednakże jeden z nich towarzyszy samochodowi, idąc szybkim krokiem, by wskazać, w którym miejscu na via della Posta ma zaparkować. Watykański odźwierny wynurza się wprost ze ściany i otwiera drzwi limuzyny z prawej strony. Stojący przed drzwiami Palazzo Apostolico gwardzista szwajcarski przebrany za janczara sprawia wrażenie zupełnie niezainteresowanego tym, co się wokół niego dzieje. Patrzy przed siebie, na budynek żandarmerii, jak gdyby chciał przeniknąć skrywane tam tajemnice. Z limuzyny wyłaniają się kształtne stopy obleczone w surową czern obuwia ze srebrną sprzączką i delikatnie dotykają ziemi.

Msza zostanie odprawiona zgodnie z protokołem i kalendarzem liturgicznym w Bazylice Świętego Piotra w Watykanie, z udziałem Kongregacji do spraw Kultu Bożego w pełnym składzie. Jak nakazuje ostrożność, wszyscy honorowi goście zostali zaproszeni trzy godziny przed ceremonią, żeby uniknąć najmniejszego choćby zgrzytu, bo co jak co, ale na przestrzeni wieków Święty, Powszechny i Apostolski Kościół Rzymskokatolicki nauczył się planować, przygotowywać i przeprowadzać ceremonie dowolnego rodzaju z idealnie dobranym do wagi uroczystości poziomem przepychu.

Ubrana w czern dama, szczupła i wyprostowana mimo swoich osiemdziesięciu siedmiu lat, w dyskretnym, ale bardzo eleganckim kapeluszu na głowie, czeka, aż jej syn i była synowa ustawią się obok niej. Z niechęcią i znużeniem puszcza mimo uszu hałas dochodzący z placu, gdzie zgromadzeni ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, że tworzą tłum. Gasull załatwia coś z mundurowym, który pojawił się w ślad za odźwiernym.

– Gdzie się podział Sergi. – Dama wypowiada słowa, patrząc przed siebie z powagą, nie starając się nawet zakończyć zdania intonacją pytającą.

– Tu jest, mamó – odpowiada oschłym tonem Marcel. – A niby gdzie miałyby być?

Sergi został z tyłu, żeby zapalić papierosa, przewidując, że wewnątrz nie pozwolą mu ani razu się zaciągnąć, na wieki wieków amen.

– Nie słyszę go.

Mogłabyś się pofatygować i jemu samemu zadać to pytanie, myśli Mertxe, która od rana ma kwaśną minę. Ale ty nigdy nie zapytasz pewnych osób o pewne sprawy ani nie odwrócisz głowy, żeby się obejrzeć, bo nie chcesz pokazać zmarszczek na szyi i uważasz, że to inni powinni się stawić przed tobą.

– I co? – dama zwraca się do Gasulla.

– W porządku. Wszystko załatwione.

Pięcioosobowa grupa opatrzona numerem 35Z przekracza próg Palazzo na trzy godziny przed rozpoczęciem uroczystości.

#

Sala Świętej Klary jest przestronna, oświetlona łagodnym, leniwym światłem wpadającym przez trzy balkony wychodzące na obszerny dziedziniec wewnętrzny, gdzie właśnie miota się w pośpiechu pewien dziwny osobnik przystrojony żółtą szarfą przewieszoną na ukos przez ramię, podążający za uczynnym obywatelem w codziennym ubraniu, który ruchem ręki wskazuje mu właściwe drzwi. Vis-à-vis balkonów ogromna, ciemna półkula globusa ukazuje wszystko, co ludzkość wiedziała o Ziemi w XVII wieku. Tuż obok fortepian, zaskakujący w tym otoczeniu, przybiera wyszukaną pozę, właściwą instrumentom muzycznym, kiedy milczą.

Odpowiedzialny za protokół chudy mężczyzna w takiej samej surowej czerni jak dama, najprawdopodobniej ksiądz, poucza ich, mrużąc pod nosem po włosku, przeświadczony, że i tak go nie zrozumieją: że mogą usiąść i czuć się jak u siebie w domu, że teraz trzeba czekać, a w razie potrzeby za fortepianem są drzwi, które prowadzą do stanza de bagno. Podczas gdy oni oswajają się z miejscem, kobieta w średnim wieku, najpewniej zakonnica, wjeżdża do sali z wózkiem pełnym przekąsek i napojów

bezalkoholowych, a chudy mężczyzna szepce do ucha Gasulla, że na godzinę przed uroczystością ten wózek zniknie, sam pan rozumie dlaczego.

Dama zasiada na wygodnej sofie, ze złączonymi kolanami, i kieruje wzrok w głąb sali, tak jakby mogła cokolwiek zobaczyć, dając dobry przykład pozostałym. Jest spięta do granic wytrzymałości słabego ciała. Ale ukrywa to napięcie, by ani syn, ani była synowa, ani wnuk, który teraz obojętnie wodzi wzrokiem po balkonach, ani adwokat Gasull nie domyślili się, jak bardzo jest zdenerwowana, niemal przytłoczona, siedząc na sofie w przestronnym pomieszczeniu Świętej Klary, w Palazzo Apostolico w Watykanie. Ta dama wie, że po dzisiejszym dniu będzie już mogła spokojnie umrzeć. Kładzie rękę na piersi, żeby dotknąć krzyżyka zawieszonoego na szyi. Wie, że dziś zakończy się dla niej czas sześćdziesięciu lat udręki, i nie potrafi przyznać się sama przed sobą, że mogłaby lepiej przeżyć życie.

W dniu, w którym odesłano jego imię w niepamięć, na ulicy znajdowało się bardzo mało ludzi. Nawet gdyby nie padało, też mało kto by przyszedł, bo większość zdecydowała się udawać, że ich to nie dotyczy, i tylko dyskretnie, zza ranki, zza płotu, śledzili przebieg wydarzenia zamykającego czasy, które kosztowały ich tyle łez. Burmistrz zdecydował, że pomimo ulewy nie odwoła uroczystości, nie wspomniął tylko, że prawdziwą przyczyną tej politycznej determinacji okazało się spotkanie z klientem w Sort. Już mu ślinka ciekła na samą myśl o wspaniałej, soczystej paelli przyrządzanej w restauracji Rendégo. Ale nazwisko, które nosił, do czegoś zobowiązywało. Bringué musiał pokazać całemu miasteczku, a przede wszystkim mieszkańcom domu Gravat, że uroczystość się odbędzie, choćby i potop. Tak więc dokonali wymiany w obecności burmistrza, radców, sekretarza i dwóch podekscytowanych turystów w jaskrawych płaszczach przeciwdeszczowych, którzy przyplątali się nie wiedzieć skąd i nie wnika-jąc, w czym rzecz, bez przerwy robili zdjęcia ilustrujące dziwne obyczaje mieszkańców wysokogórskich miejscowości; z oczywistych względów był też obecny Serrallac. Aż trudno uwierzyć, że w czymś takim wzięła udział również pani Báscones; po co, na litość boską? Toż to istna kolostomia. Jaume Serrallac wykuł i pomalował na czarno litery na czterech wspaniałych, jasnoszarych marmurowych tablicach, których elegancja aż się prosiła o bardziej okazałe ulice, porządniejsze ściany i godniejszą miejscowość. Ulica prezydenta Francesca Macià zastąpiła ulicę generalissimusa Franco, Główna pojawiła się w miejscu ulicy Joségo Antonia, Rynek zastąpił plac Hiszpanii, a ulica Środkowa zostawiła z niczym falangistę Fontellesa. Ponieważ przygotowania zostały dopięte na ostatni guzik, otwory wywiercone, a Serrallac zdążył nabrać wprawy dzięki gorączce wymiany nazw, jaką pociągnął za sobą upadek dyktatury, wszystko poszło jak z płatka. Tylko ostatnia tabliczka, z nazwiskiem falangisty Fontellesa, stawiała opór, i żeby ją usunąć, musiał rozbić starą płytę młotkiem na samej ścianie. Później

wrzucił smętne szczątki historii do kontenera stojącego przed domem Batalla. Okruchy falangisty Fontellesa odpowiedziały niemym, bezsilnym krzykiem, brzmiącym niemal unisono z ledwie dosłyszalnym jękiem na balkonie domu Gravat, wydanym przez nieruchomą postać w napięciu zaciskającą ręce na poręczy, na którą nikt, poza kotami, nie zwrócił uwagi. Dwie kobiety, jedna w podeszłym wieku, obie ciepło ubrane, przyglądały się wszystkiemu z wysokości ulicy Rasa. Kiedy się upewniły, że Serrallac rozbił na kawałki starą tabliczkę, zeszyły powoli ulicą Środkową; trzymały się pod rękę i oglądały po kolei wszystkie fasady, okna i drzwi, komentując coś od czasu do czasu półsłówkami, półgłosem, żeby pokryć zmieszanie wywołane świadomością, że wiele oczu obserwuje je z wnętrza domów tak samo bezkarnie, jak one obserwowały z góry ceremonię zmiany nazwy ich ulicy. Kiedy dotarły do kontenera, zajrzały do środka, jakby chciały się upewnić co do jego zawartości. O cjalna delegacja skierowała się już tymczasem ulicą Francesca Macià w stronę Rynku, gdzie miała się dokonać ostatnia z zaplanowanych zamian i gdzie burmistrz zamierzał przypomnieć w krótkich słowach, że uroczystość przywrócenia tradycyjnych nazw jest symbolicznym aktem pojednania. Od momentu, gdy ulica znów pogrążyła się w zwykłej ciszy, w Torenie wszyscy wyrzucili z pamięci Oriola i w każdym domu dało się słyszeć westchnienie ulgi, wyraz ogólnego przeświadczenia, że oto zniknął zniechęcony symbol niezgody. W całym miasteczku o Oriolu Fontellesie zapomniał każdy, oprócz cienia na balkonie domu Gravat, który właśnie przecierał okulary, myśląc jeszcze zobaczycie, kto będzie się śmiał ostatni, aż do chwili, gdy dwadzieścia cztery lata później zaczęto mówić, że trzeba zburzyć opuszczony, nieczynny budynek dawnej szkoły, żeby miasteczko mogło wejść w dwudziesty pierwszy wiek z nową twarzą.

Było oczywiste, że dyrektorka szkoły w Sort wysłała do Toreny Tinę Bros z misją o cjalnego myszkowania w szpargałach, z myślą o przygotowywanej wystawie na temat historii materiałów dydaktycznych. Istniała szansa, że w tym niewielkim budynku będzie można znaleźć coś ciekawego. Przeszarżałe podręczniki i inne ciekawostki. Ponieważ pisała książkę, uchodziła w szkole za specjalistkę od wszystkiego. Tak więc Tina, mimo że głowę miała

zaprzątniętą czym innym, musiała pojechać, chcąc nie chcąc, po raz drugi w ciągu trzech dni do Toreny tym swoim charakterystycznym czerwonym citroenem. Nie wiedziała, że zaparkowała samochód dokładnie pod tabliczką, która dwadzieścia cztery lata temu przywróciła oryginalną nazwę ulicy Środkowej. Poprosiła o klucze w ratuszu, a tam odesłali ją do robotników pracujących przy rozbiórce budynku. Kiedy dotarła na miejsce, na rogatki miasteczka od strony wzgórza Triador, ekipa zaczynała już rozbierać dach, zdejmując łupkowe dachówki jedna po drugiej. Nie zastanawiając się długo, wyjęła swój mały aparat fotograficzny z kliszą o wysokiej czułości i korzystając z migotliwego światła zmierzchu, zrobiła trzy zdjęcia budynku. Udało się jej tak wykadrować, że na żadnym nie było widać robotników. Może któreś z tych ujęć przyda się do książki. Kto wie. Na szczęście robotnicy rozpoczęli rozbiórkę od strony łazienki. Zdażyła sprawdzić zawartość dwóch szaf w sali lekcyjnej, pobrudzić ręce lepkiem, czarnym, wieloletnim kurzem, wyrzucić niepotrzebne szpargały, ocalić z tuzin podręczników stworzonych w myśl zasad prehistorycznej pedagogiki, których staroświecki urok w sam raz pasuje do wystawy, przy czym wsłuchiwała się cały czas w stukot młotków, odsyłających ten budynek w niebyt. Wyselekcjonowany przez nią materiał zmieścił się w kartonowym pudle, które przywiozła z Sort. Zatrzymała się na chwilę przy oknie i zapatrzona w dal zastanawiała się, czy to, co zamierzała zrobić po opuszczeniu szkoły, nie uwłacza jej godności. Na pewno uwłacza, ale Jordi nie dał jej wyboru. Jeszcze dwie minuty z otwartymi ustami; żadnego wyboru. Mój Boże, dlaczego Jordi, dlaczego Arnau. Dlaczego w domu nigdy o niczym nie rozmawiali, dlaczego byli tacy zamknięci w sobie, dlaczego Arnau coraz bardziej się od nich oddala, całymi dniami poza domem, i tak nerwowo reaguje na pytanie, z kim spędza czas. Po dłuższej chwili otrząsnęła się z tych gorzkich reksji, westchnęła, spuściła wzrok i wróciła do rzeczywistości, do opuszczonej szkoły w Torenie. Musiała wziąć się w garść i choć na moment przestać myśleć o nich dwóch, zwłaszcza o Jordim. Wtedy wpadła na pomysł, żeby sprawdzić zawartość szu ad nauczycielskiego biurka. W pierwszej z nich, poza niematerialnymi wspomnieniami, które ulotniły się natychmiast po otwarciu szu ady, ktoś pozostawił strużyny

ołówka. W pozostałych dwóch nie znalazła nic, nawet wspomnień. Za brudnymi szybami niespiesznie dogasał dzień i nagle dotarło do niej, że od jakiegoś czasu nie słyszczyć uderzeń młotka.

Przy tablicy znalazła kawałek kredy. Kiedy ją wzięła do ręki, nie mogła się oprzeć pokusie i starannym, belferskim pismem wykaligrafowała datę: środa, 13 grudnia 2001 roku. Odwróciła się natychmiast, jakby za jej plecami w zjedzonych przez korniki ławkach siedziały dzieci, którym trzeba wyjaśnić, jaki jest plan zajęć na dziś. Ale zamarła z otwartymi ustami, kiedy dostrzegła w głębi sali, tuż przy drzwiach, nieogolonego robotnika z papierosem w ustach i pudełkiem po cygarach w jednej dłoni; w drugiej trzymał gazową campingową lampę. On też zamarł z otwartymi ustami, ale szybciej zareagował.

– Proszę pani... Musimy już kończyć, sami siebie nie widzimy. Odda pani klucz?

Podszedł do niej z lampą; do jeansów miał przytroczony pęk kluczy. Tina odniosła wrażenie, że zbliża się do niej uczeń z dzienniczkiem, a ona, jak sięgnąć pamięcią, jest w tej szkole nauczycielką. Robotnik położył pudełko po cygarach na biurku.

– Znaleźliśmy je za tablicą.

– Za tą tablicą?

Majster podszedł do ściany i popchnął tablicę. Wydawało się, że jest umocowana na stałe; a jednak przesunęła się nieco z jękiem i odsłoniła niewielką ciemną wnękę. Poświecił lampą.

– Tu, w środku.

– Jak skarb piratów.

Majster przywrócił tablicę na poprzednie miejsce.

– To zeszyty uczniowskie – oświadczył, stukając dłonią w pokrywkę. Pudełko świetnie się zachowało, ktoś je przewiązał czarnym sznurkiem.

– Mogę je zatrzymać?

– Miałem je wyrzucić.

– Mógłby mi pan zostawić światło?

– Zamarznie pani tutaj – ostrzegł, spełniając jej prośbę.

– Jestem ciepło ubrana. – Wskazując lampę, dodała: – Dziękuję.

– Kiedy pani skończy, proszę zamknąć na klucz i zostawić lampę przed drzwiami. Jutro ją znajdziemy.

– Jak długo potrwa rozbiórka?

– Jutro będzie po wszystkim. Dziś robiliśmy przygotowania. Zburzyć taki budynek to żadna lozo a.

Zasalutował jej jak żołnierz marines, przykładając kościsty palec do skroni. Zamknął za sobą drzwi i głosy trzech robotników powoli rozwiały się za brudnym oknem, aż zapanowała taka cisza, że Tina prawie słyszała suchy kaszel Elviry Lluís, tej dziewczynki z pierwszej ławki, która pięćdziesiąt sześć lat temu zmarła na gruźlicę. Tina rozejrzała się wokół. Światło lampy wywoływało coraz to nowe, nieznane cienie. Zburzenie takiego budynku to żadna lozo a, powtórzyła w myślach. Ile pokoleń dzieci nauczyło się tu pisać i czytać? zastanawiała się. I w ciągu jednego dnia to wszystko zamieni się w gruz, westchnęła.

Wróciła do biurka i uświadomiła sobie, że robotnik mówił świętą prawdę: w klasie było zimno jak w lodowni. A światło dnia kończyło swoją dniówkę z coraz większym pośpiechem. Postawiła lampę na biurku i zadumała się nad skarbem piratów. I pomyśleć, że mogliby zburzyć szkołę i pogrzebać diamenty w środku... Rozwiązała czarny sznurek i otworzyła pudełko: diamentami okazały się zeszyty w jasnoniebieskiej czy jasnozielonej okładce, trudny do rozpoznania kolor, z wykaligrafowanym w poprzek drukowanymi, czarnymi literami słowem „Zeszyt”. Uczniowskie zeszyty. Dwie, trzy, cztery sztuki. Jaka szkoda, że to nie diamenty, westchnęła. Poczowała ukłucie, które nie dawało o sobie zapomnieć.

Otworzyła jeden z nich: natychmiast zwróciła uwagę na charakter pisma, porządnym, równym, czytelnym; litery wypełniały od góry do dołu wszystkie strony. Od czasu do czasu jakaś ilustracja. Wszystkie zeszyty były bardzo podobne. W pierwszym z nich rysunek twarzy. Nie wiedziała, że to autoportret Oriola sporządzony przed lusterkiem w uczniowskiej toalecie. Mężczyzna o smutnym spojrzeniu. W drugim zeszycie rysunek domostwa, podpisany „Dom Gravat”. A co w trzecim, zobaczmy..., ach, kościół. Kościół Świętego Piotra w Torenii. I pies rasy springer spaniel. Tina nigdy nie widziała u żadnego psa tak smutnych oczu. Najprawdopodobniej nazywał się Achilles. W ostatnim zeszycie szkic do portretu jakiejś kobiety, rozpoczęty, zmieniony, poprawiany tysiące razy i niedokończony, pozbawiony ust, bez źrenic, jak marmurowe

rzeźby nagrobne, które sprzedawał Serrallac w swoim warsztacie. Usiadła, nie zdając sobie sprawy, że z powodu zimna wydychane przez nią powietrze zamienia się w mgłę, jakby chciało ukryć ujawnienie tych czterech zeszytów. Gdzie mogła słyszeć to imię? Na pewno całkiem niedawno, tak. Jak gdyby ktoś jej o nim przed chwilą opowiadał.

Tina Bros zaczęła czytać zaintrygowana, nieuprzedzona i niepodejrzewająca, jakie nieszczęście właśnie na siebie ściąga. Zaczęła od pierwszej strony pierwszego zeszytu, odczytała nagłówek, adresowany do kogoś słowami kochana córko, nie wiem, jak się nazywasz, ale wiem, że istniejesz, bo widziałem twoją rączkę, małą i słodką. Chciałbym, żeby ktoś, kiedy dorośniesz, przekazał ci te linijki, chciałbym, żebyś je przeczytała... Boję się, co inni mogą ci o mnie powiedzieć, zwłaszcza twoja matka.

#

O wpół do dziewiątej, kiedy światło lampy zaczynało dogasać, nagle uniosła głowę, jakby wracała z innego świata. To było bardzo nierozsądne narażać się na zamarznącie w tej klasie. Poczowała dreszcz. Zamknęła miękką okładkę ostatniego zeszytu i zaczerpnęła powietrza do płuc. Chyba na czas lektury zawiesiła oddychanie. Uznała, że zeszyty nie przydadzą się na wystawę organizowaną przez Maite. Umieściła je w pudełku po hawańskich cygarach, które wraz z czarnym sznurkiem włożyła do przepastnej kieszeni swojej kurtki i skierowała się do wyjścia, opuszczając szkołę, gdzie, jak się jej teraz wydawało, spędziła dobre pięćdziesiąt lat.

Zostawiła lampę w miejscu wskazanym przez robotnika udającego marines, oddała klucz w ratuszu i ruszyła w stronę marmurowej tabliczki informującej, że jest na ulicy Środkowej. Tam czekał na nią jej wierny citroen przykryty cienką warstwą świeżego śniegu, którym odgradził się od melancholii swojej pani.

Szosa do Sort, którą zjeżdżała w dół, była bardzo zimna i całkiem odludna. Ponieważ nie chciała tracić czasu na zakładanie łańcuchów, jechała powoli, w rytm swoich myśli, oszołomiona zimnem, zawartością przeczytanych przed chwilą stron oraz perspektywą dalszego ciągu dzisiejszego wieczoru. Na starym murze chroniącym przed osuwaniem się gruntu, na zakręcie Pen-dís, wyznaczającym granicę gminy Torena, gra ti sporządzone

w charakterystycznej dla radykałów estetyce denuncjowało wycinanie drzew w Tuca Negra w celu przedłużenia trasy narciarskiej. W szkole nikogo nie zastała: zostawiła kartonowe pudło opatrzone stosowną notatką w gabinecie Maite i uciekła w pośpiechu, bo ciemne, puste korytarze zawsze budziły w niej lęk. Jakby w taki mróz widma miały tu coś do roboty. Citroen bez problemu dowiózł ją do ustronnego pensjonatu. Mimo że Ainet leżało dalej na północ, jeszcze nie było w tych okolicach śniegu. Na siedzeniu pilota leżało pudełko po cygarach z czterema zeszytami. Ostrożność odradziła jej korzystanie z parkingu, więc zdecydowała się ukryć samochód przy pustej bocznej drodze. Zgasiła światła, wyłączyła silnik i zastygła w bezruchu, wpatrując się obsesyjnie w oświetlone drzwi ośrodka. Zaczął padać śnieg, zdawał się tylko czekać na ten moment, cicho i ostrożnie, a ona dotknęła pudełka na siedzeniu obok, sprawdzając, czy aby na pewno tam jest. Nie mogła się skupić na słuchaniu delikatnego szumu płatków, pokrywających wszystko wokół.

Wychodziła parę razy na mróz, żeby oczyścić przednią szybę, nie tracąc z oczu ani na chwilę drzwi pensjonatu. Wołała nie włączać w samochodzie ogrzewania, żeby nie ujawniać swojej obecności, bo w tej magicznej ciszy pudełka czekoladek wyłożonego aksamitem, gdzie nawet rzeka starała się płynąć bezszelestnie, szum silnika musiałby przyciągnąć uwagę Jordiego.

Kiedy wysiadła z samochodu po raz kolejny, żeby rozruszać zmarznięte stopy, usunęła skrobaczką lód z przedniej szyby i przykryła świeżym śniegiem zgarniętym na drodze tablicę rejestracyjną. Przyznać się przed sobą, że balansowała na granicy utraty godności, to jedno, ale przyznać się do tego przed innymi, to całkiem inna kwestia. Poczowała, że zmarzł jej nos.

Wróciła do auta, nie odrywając wzroku od oświetlonych drzwi, przez które w tym czasie wyszły tylko dwie nieznanne osoby. Ostrożnie dotknęła pudełka po cygarach, nie zdejmując rękawiczek.

– Coś ty powiedział?

– To, co słyszałaś.

Rosa, z ustami otwartymi ze zdziwienia czy może ze strachu, czuła, że serce wali jej jak młotem. Zakręciło się jej w głowie i musiała przysiąc na fotelu. Wyszepiała:

- Dlaczego?
- Wszyscy tu narażają się na niebezpieczeństwo.
- Nie, niebezpieczeństwo zagraża tylko temu dziecku.
- Robię, co mogę.
- Gówno prawda. Idź lepiej z tym do pani Elisendy.
- Po co?

– A co, nie lubisz jej odwiedzać? – drążyła z intencją zadania bolesnego ciosu. – Nie ślinisz się na jej widok? Że niby ma taką plastyczną twarz, takie trudne oczy...

- Co ty mówisz?

Jakby niczego wcześniej nie insynuowała, Rosa, patrząc w okno, powiedziała zmęczonym głosem jesteś jedyną osobą w miasteczku, której ona wysłucha.

- Pani Elisenda nie może nic zrobić.
- Tutaj wszystko dzieje się pod jej dyktando.
- Akurat.

Rosa spojrzała na Oriola. Wpatrując się uważnie w jego oczy, próbowała odgadnąć sekrety, jakie on i pani Elisenda przekazywali sobie wzrokiem, kiedy byli razem. Oriol już miał odpowiedzieć, ale rozdzwoniły się dzwony na Anioł Pański. Zamilkli, choć przecież nigdy się nie modlili, nawet podczas zimy tak srogiej jak ta. Zanim dzwony umilkły, Rosa wybuchnęła.

- Jeśli czegoś z tym nie zrobisz, wracam do Barcelony.
- Nie zostawiaj mnie.
- Jesteś tchórzem.
- Tak, jestem tchórzem.

Rosa instynktownie położyła rękę na brzuchu i powiedziała zmęczonym głosem nie chcę, żeby nasza córka się dowiedziała, że jej ojciec to tchórz i faszysta.

- Nie jestem faszystą.
- A czym się różnisz od tego skurwysyna burmistrza?
- Nie krzycz, ściany mają uszy!
- On sobie na wszystko pozwala, a ty mu przyklaskujesz.
- Słuchaj, jestem tylko skromnym nauczycielem.
- Mógłbyś okręcić sobie burmistrza wokół palca.
- Mrzonki. Poza tym się boję. Boję się go.
- Musisz obronić małego Venture.

– Nie mogę. Przysięgam, on się ze mną nie liczy.

Rosa po raz ostatni spojrzała mu w oczy. Odwróciła głowę i bujając się w fotelu, patrzyła przez okno. To było jak pożegnanie. Zastanawiała się, dlaczego tak się stało, i przeklinała dzień, w którym zdecydowali się objąć posadę tu, w tej pięknej miejscowości, charakteryzującej się, według encyklopedii, dużą populacją rogaćcizny i owiec; będzie nam wspaniale, będziemy czytać i kochać się, nareszcie starczy nam czasu na wszystko. Rozważywszy każde za i przeciw, w końcu powiedziała zgoda, Oriol, jedźmy do Toreny. Co z tego, że ciasto na świąteczne krokiety stygło na stole. Nie powinna była w ogóle zabierać się dzisiaj do gotowania, niepotrzebne całe to Boże Narodzenie za cztery dni, nic jej nie przejdzie przez gardło, kiedy sobie pomyśli o tym biednym dziecku.

Oriol spojrzał na kark Rosy. Zacisnął szczęki z wściekłością i wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Natychmiast znów je otworzył, jakby czegoś zapomniał. Zatrzymał się w progu z ręką na klamce i próbował opanować gniew. Rosa ciągle wyglądała przez okno na ulicę, obojętna na rozciągającą się przed nią imponującą panoramę doliny Assua, którą przysłoniła jej teraz mgła łąz. Sięgnął po kurtkę i czapkę i wyszedł.

Wystarczyło osiem miesięcy na stanowisku nauczyciela w Torenie, by Oriol stał się innym człowiekiem. Była w pierwszym miesiącu ciąży, kiedy tu przyjechali, pełni entuzjazmu. Nie mogli uwierzyć, że im się udało, mimo że Oriol nie walczył na froncie ani nawet – z powodu wrzodów żołądka – nie służył w wojsku. Jednak otrzymał posadę zarezerwowaną dla weteranów, dla kogoś, kto się zjawi nie wiadomo skąd z legitymacją Falangi w zębach albo z orderami pogromcy Republiki zawieszonymi na cienkim wąsiku. Cieszyli się, nie zdając sobie sprawy w swojej naiwności, że na posadę nauczyciela w Torenie nie zgłosiłby się sam Pan Bóg, który może i się urodził w stajni, ale do szkoły chodził w Nazarecie, gdzie było boisko z prawdziwego zdarzenia i przyzwoite, czyste ściany, osobne klasy dla dziewcząt, osobne dla chłopców, a poza chłopskimi dziećmi uczyli się w niej też ciesielscy synowie.

Patrzyła przez okno, ale nie widziała placu. Valentí Targa odmienił jej męża. Od pierwszego dnia zaczął go sobie podporządkowywać i ustawiać. Od pierwszego wyzywającego spojrzenia,

jakim ich obrzucił, stojąc z rękami na biodrach, kiedy wysiedli z taksówki z nadzieją w oczach i z dużym koszem pełnym naczyń kuchennych. Ze starannie zapakowanym portretem, który namalował jej Oriol. Nie umiała w porę dostrzec niebezpieczeństwa. I tak spędzili w Torenzie w milczeniu długie trzy miesiące, i docierało do nich, że co jakiś czas czarne samochody wożą na górę Sebastiana zapłakanych mężczyzn, a potem ciężarówki do przewozu była transportują ich gdzieś uciszonych na zawsze, już bez łez. Ona też się zmieniła: Valentí Targa sprawił, że przestała się odzywać. Za długo milczała. Aż do dzisiejszego dnia, kiedy Oriol wrócił z ratusza, gdzie go wezwał ten przeklęty Targa, i oświadczył, nie patrząc jej w oczy, że powinien wstąpić do Falangi, a ona, jak stała przed piekarnikiem, tak zamarła z otwartymi ustami i zabrakło jej słów, może źle go zrozumiała, może to tylko żart. Ale nie: nadal unikał jej wzroku i milczał, czekał na reakcję. Odłożyła blachę z krokietami na bok i z wysiłkiem przeszła w stronę bujanego fotela, poprzedzana brzuchem, chcąc w ten sposób oddalić swoją córkę od męża, i zapytała coś ty powiedział?

– To, co słyszałaś.

José Oriol Fontelles Grau, poległ za Boga i za Hiszpanię. Teraz Tina sobie przypomniała, skąd zna to nazwisko. Tydzień temu, kiedy jeszcze była szczęśliwa, wybrała się do doliny Assua w związku z książką, w której chciała wspomnieć również o miejscach wiecznego spoczynku. Cmentarz w Torenzie w porównaniu z innymi przypominał pięciogwiazdkową wieczystą rezydencję. Woląла uzyskać lepszy kadr, dostosowując odległość, niż ustawiając teleobiektyw. Na samym środku miał stać pewien bardzo zniszczony pomnik. Po obu stronach wyrastały z ziemi rzędy grobów, większość z przerdzewiałymi żelaznymi krzyżami, niektóre z krzyżem z marmuru. W głębi, przysłonięty przez pomnik, kolejny rząd grobów, wzdłuż północnego muru, od strony, z której nacierał wróg i lodowaty wiatr. I jeszcze mauzoleum miejscowych bogaczy po lewej, okazałe i zadbane.

Pstryk. Dzwoniec, który wzbijał się do lotu, został uchwycony na zdjęciu, na prawo od zaniedbanego pomnika. Nie zauważyła go. A może jednak; podobnie jak wielu fotografów, którzy kontrolują

wszystko, co ma się znaleźć w kadrze, ale i tak, wywołując zdjęcia, oczekują jakiejś niespodzianki.

Biały papier, skąpany w czerwonej poświacie, powoli wypluwał z siebie dziwne kształty i utrwał je, najpierw ledwo widoczne, a później już z pełną świadomością obiektów. Poruszyła pęsetą papier w kuwecie i kształty przekształciły się w obrazy, coraz wyraźniejsze. Świetnie wykadrowane, stwierdziła. Wyciągnęła pęsetą papier z utrwalacza i zawiesiła go obok pozostałych dwudziestu zdjęć z Imu numer trzy, piątego grudnia dwa tysiące jeden, cmentarz w Torenii. Tak, świetnie wykadrowane.

Kiedy przystąpiła do podsumowywania efektów tej sesji fotograficznej, stwierdziła, że wszystkie zdjęcia wyszły zgodnie z oczekiwaniami, bez niespodzianek. Wtedy dopiero zwróciła uwagę na dzwonia zatrzymanego w kadrze w momencie, gdy wzbijał się do lotu, na fotografię przedstawiającej zaniedbany pomnik. Zapomniała o nim. Coś takiego. Co za, no nie wiem, poezja? Przyjrzała się ptakowi pod lupą. Tak, dzwonec z opuszczonymi skrzydłami, uchwycony w trakcie wznoszenia się w powietrze. W dziobie trzymał robaka. Nie. Przy wywoływaniu przykleił się jakiś okruch. Nie; to rysunek wryty na pomniku na drugim planie zdjęcia: ptaszek tylko przed nim przelatował i powstało złudzenie optyczne. Rysunek wryty na pomniku. Wtedy przyjrzała się lepiej tamtej płycie nagrobnej. Mimo że zapadał zmrok, dzięki idealnie wyliczonemu czasowi naświetlania, całe tło było bardzo wyraźne. Dzwonec i pochylona płyta miały świetny kadr. Może całość wyszła zbyt akademicka, zbyt płaska. Pomyślała, że dzwonec jest jak pióro, i dziobkiem niczym stalówką zapisuje słowa na płycie. Dzwonec zapisał José Oriol Fontelles Grau (1915–1944), poległ za Boga i za Hiszpanię. Wyrysował tam jeszcze faszystowskie jarzmo i strzały. Ostrze jednej z nich wyglądało jak robak unoszony przez dzwonia do gniazda.

Tina odłożyła lupę na stół i przetarła oczy. To zdjęcie, ostatnie na kliszy, mogłoby pójść na początek, czarno-białe, ilustrujące upływ czasu i tym podobne historie.

#

Wciąż trzymała dłoń na pudełku po cygarach z zeszytami Oriola Fontellelesa i dzięki temu, że zastanawiała się nad ich

zawartością, pozwalając, by śnieg znów zasypał przednią szybę samochodu, udało się jej zapomnieć na chwilę o tym, co tu robi, przyczajona przed oświetlonymi drzwiami pensjonatu w Ainet. Wyobrażała sobie, że płatki śniegu to gwiazdy, które spadają zmęczone bezowocnym przebywaniem na niebie, rozczarowane świadomością, że ich światło potrzebuje całych wieków, by dotrzeć do źrenic kochanych osób. Są na świecie ukochane osoby? No tak, ja kocham Arnaua, on jednak nie daje się kochać, tylko milczy, zajęty swoimi sprawami, jakby nie chciał patrzeć w gwiazdy, podobnie jak Jordi. Jej mężczyźni nie potrzebowali gwiazd. Kiedy już się zbierała, żeby wyjść na zewnątrz i przetrzeć szybę, zauważyła jakiś ruch przy drzwiach pensjonatu. Ktoś wychodził. Jordi. Jordi. Jej Jordi wychodził z pensjonatu w Ainet, wiele kilometrów od domu, i rozglądał się, zakładając czapkę. Nie dostrzegł czerwonego samochodu zaparkowanego poza zasięgiem światła. Odwrócił się i wyciągnął rękę do kogoś za progiem. Patrzyła na ten gest z zazdrością. Większą zazdrość wzbudził w niej sam gest niż kobieta, która pojawiła się w ślad za nim, prawie tak wysoka jak Jordi. Spod kurtki nie wystawał nawet czubek nosa i nie dało się jej rozpoznać. Tym gestem Jordi obejmował nie tylko tamtą kobietę, ale i wszystko, co się z nią wiązało. Opiekuńczy gest był policzkiem wymierzonym w nią, która marzyła tu w samochodzie tylko po to, żeby potwierdzić coś, czego się obawiała.

W końcu zareagowała. Wyjęła aparat, przechyliła się przez kierownicę, żeby dobrze wykadrować, ustawiła szeroki plan, długi czas naświetlania i pstryknęła. Dwa, trzy zdjęcia. Cztery, pięć. A teraz teleobiektywem: jedno, drugie, trzecie, czwarte, piąte, szóste... Przestała pstrykać i zastanowiła się nad sobą. Poczuli się jak jakaś prymitywna paparazza. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się jej poczuć na policzku zamarzniętej łyzy.